

Spondeo ac polliceor?

Wszyscy zapewne składaliśmy przysięgę doktorską i pamiętamy jej treść:

vestrarum disciplinarum studia impigro labore culturos et provecturos / **non sordidi lucri causa / nec ad vanam captandam gloriam, / sed quo magis veritas propagetur** / et lux eius, / qua salus humani generis continetur, / clarius effulgeat.

badania naukowe w swoich dyscyplinach ochoczo i gorliwie będziecie uprawiać i rozwijać nie z chęci marnego zysku czy dla osiągnięcia próżnej sławy, lecz po to, by tym bardziej krzewiła się prawda i jaśniej błyszczało jej światło, od którego zależy dobro rodzaju ludzkiego.

Niegdyś każdy z promowanych doktorów wysłuchiwał z osobna – z ust swego promotora – pełnej wersji roty i odpowiadał na pytanie, czy przysięga dotrzymać zawartych w niej przyrzeczeń. Teraz nawet na mojej uczelni rota przysięgi odczytywana jest wszystkim, doktorzy odpowiadają zbiorowo, a promotor zwraca się do promowanego w krótkich słowach, oznajmiając, że nadany zostaje jemu lub jej tytuł doktora. Doktoraty są masowe, więc uroczystość trzeba skracać. Być może w niektórych uczelniach w ogóle się ją pomija i ogranicza do wręczenia papierowego postanowienia o nadaniu tytułu doktora. W przyszłości może e-mailem...

Ja jednak chciałabym wrócić do słów przysięgi doktorskiej, która, jak to przysięga, stanowi – stanowiła – zobowiązanie.

non sordidi lucri causa

nie z niskiego pragnienia zysku

Tymczasem kogo uznajemy za najbardziej godnego poważania? Kogoś, komu udało się zdobyć duży grant, najlepiej europejski. Niekoniecznie interesuje nas, dla jakiego celu ani jakie rezultaty przyniosło jego wykorzystanie. Sam fakt zdobycia dużych pieniędzy już budzi nasz szacunek. We wszystkich propozycjach dotyczących przyszłej ustawy pojawia się gwałtowne domaganie się pieniędzy jako najważniejszego być może warunku uprawiania nauki – jej doskonałości?

Zdaję sobie sprawę z tego, że pieniądze – im większe, tym lepiej – potrzebne są tak dla celów organizacji pracy naukowej, jak i po to, by móc zdobywać niezbędne materiały do celów badawczych. Nie uważam też, że powinniśmy chodzić w dziurawych butach, podartych płaszczach i oczekiwać, że ktoś nam podaruje rękawiczki (ten, kto słyszał niedysyjsze gawędy JM Rektora UJ na temat dawnych obyczajów towarzyszących promocjom doktorskim, wie, o czym mowa). Sądzę jednak, że warto przypomnieć słowa dawnej (czyżby już nieaktualnej?) przysięgi.

Brałam udział w dyskusji na temat przyszłej ustawy w pewnym środowisku przedstawicieli nauk ścisłych. W czasie tejże dyskusji paru profesorów stanowczo domagało się, by granty nie przewidywały wynagrodzenia dla grantobiorcy, argumentując, że często pogoń za grantami ma podłoże czysto zarobkowe i prowadzi do spychania na drugi plan przedmiotu badań, a także nie pozwala spokojnie prowadzić ich w sposób kumulatywny. Kolejne granty najlepiej zdobywać bowiem na atrakcyjnie przedstawione i w miarę nieopracowane tematy. Nie wiem, czy tak jest, i nie byłabym aż tak zasadnicza w kwestii wynagrodzenia: zwłaszcza w przypadku grantu, w którym

bierze udział większa liczba uczestników, grantobiorca – poza działaniem merytorycznym – ma wiele pracy organizacyjnej, która w jakimś sensie jest dodatkowa i powinna być wynagradzana. Nie zmienia to faktu, że zdobywanie grantów ma często charakter zdobywania dodatkowego dochodu i tak jest traktowane.

nec ad vanam captandam gloriam

nie dla próżnej chwały

Przy tym fragmencie roty warto zastanowić się nad tytułami – nie tylko tytułem doktora, lecz doktora habilitowanego i, zwłaszcza, profesora. Ileż to razy tytuły te nadawane są osobom, o których wiemy, że nie zasługują na nie, ale nie chcemy – nie potrafimy – im ich odmówić? W przekonaniu, że każdemu, kto wykona minimalny choćby wysiłek, żeby spełnić warunki brzegowe (jakże niskie obecnie), on się należy? Nie ze względu na jakość ich pracy, ale dlatego, że, w jakimś stopniu, uznajemy ich prawo do „ozdoby”, jaką jest tytuł (albo/i do związanego z nim wyższego wynagrodzenia). Ileż to razy wysłuchujemy, gdy ktoś sam siebie chwali, wnioskuje o nagrody dla samego siebie, żąda uznania przez niektórych – i nas to nie gorszy? Nie uznajemy tego za poniżające dla tego, kto tak postępuje?

quo magis veritas propagetur / et lux eius, / qua salus humani generis continetur, / clarius effulgeat.

Tłumaczenie tego ostatniego fragmentu przysięgi doktorskiej brzmi tak podniośle, że niejednen wzdragać się może przed jego uznaniem, a nawet – przetłumaczeniem. W czasach, które wymyśliły pojęcie „postprawdy”, jakiegokolwiek wspomnienie o prawdzie i o jej doniosłej roli w dziejach tak nauki, jak ludzkości musi budzić co najwyżej wzruszenie ramion i reakcję „a cóż to jest prawda?”. Musi? Sądzę, że ta właśnie część roty w największym stopniu odnosi się do kwestii doskonałości w nauce. Nie oznacza to, że unieważnieniu powinny podlegać wielki filozoficzne rozważań na temat prawdy i trudności, jakie towarzyszą niekiedy jej zdefiniowaniu. Dawna przysięga doktorska odnosiła się jednak, jak sądzę, do ważnego, intuicyjnego rozumienia i traktowania „prawdy” jako celu poznania naukowego, przedmiotu koniecznego upowszechniania przez badaczy i – najważniejszego narzędzia doprowadzenia do pomyślności wszystkich. Tłumacząc to na bliższe nam realia – prawdy jako celu samego w sobie badań naukowych, prowadzonych nie dla niskiego zysku, nie dla próżnej chwały jednostki, ale dla dobra ogółu. Czy i ta refleksja ma szansę pojawić się w rozważaniach na temat doskonałości w nauce?

MARIA KORYTOWSKA

Uniwersytet Jagielloński
Członek Rady NKN

*

A słońce Prawdy wschodu nie zna i zachodu,
Równie chętne każdego plemionom narodu
I dzień lubiące każdej rozszerzać ojczyźnie,
Wszystkie ziemie i ludy poczyta za bliźnie.
Stąd, kto się w przenajświętszych licach jej zacieka,
Musi sobie zostawić czystą treść człowieka,
Zedrzeć wszystko, co obcej winien jest przystudze,
Własności okoliczne i posagi cudze.

Adam Mickiewicz, *Do Joachima Lelewela*